



O MAMIE, KTÓRA TROCHĘ PRZERAŻA

Być może czytacie to w innych koloniach Hydropolis, gdzie podobno rodziny i w ogóle wszystko wygląda inaczej, więc wyjaśnię pokrótce, jak to jest u nas. Dużo gadaliśmy o swoich starych i oczywiście regularnie wybuchały awantury, kto ma lepiej, a kto ma gorzej. Tutaj wrzucę, że nie było u nas dzieciaków z tylko jednym rodzicem. Nie wiem dlaczego, po prostu tak było. A jeśli chodzi o ranking, to mimo ich liczebnej przewagi rodziny z mamą i tatą uznawano ostatecznie za zwyczajnie nudne, nawet jeśli niektórzy walczyli do końca, przytaczając przykłady ciekawych traum i patologii. Mój własny model dwóch matek zajął trzecie miejsce, perspektywa posiadania dwójki rodziców, którzy tak samo jęczą w sprawie bałaganu w pokoju, wzbudzała powszechne przerażenie. Drugie miejsce zajęli podopieczni dwóch ojców, głównie dlatego, że czasami rywalizowali o to, który jest lepszym ojcem, i wymy-

ślali fajne atrakcje. Ale i tak najfajniej mieli ci z różnych stadnych układów z kilkoma mężami albo kilkoma żonami, albo i kilkoma mężami, i żonami. Budzili powszechną zazdrość, bo w każdym takim domu kłębiła się masa dzieci, co oznaczało ekstazę nieustającej rodzinno-przyjacielskiej imprezy. Ostatecznie uznaliśmy, że gdyby to od nas zależało, to wszystkie modele powinno się przekształcić w model stadny.

Czyli macie ogólny obraz i teraz wyobraźcie sobie mnie przy stole: siedzę w swoim domowym bąblu dwa-cztery-pięć, bez troski żyjąc, uśmiechnięty i zadowolony, w spokoju patrząc na moje akwarium. Wsuwam na deser truskawki z glonami i słucham wykładu mamy Betty o straszliwych niebezpieczeństwach czyhających na mnie w sferze w czasie gry w oxy, jakby to nie był po prostu popularny sport, uprawiany w towarzystwie kolegów i pod okiem trenera.

– Ale dlaczego czekałeś do ostatniej chwili z sięgnięciem po awaryjny tlen, ty chyba nie myślałeś, że możesz wstrzymać oddech na dwie minuty?

Drugi raz ktoś tego dnia kwestionował moje myślowe kompetencje, zaczynałem czuć się urażony.

– Mój rekord to prawie cztery, przecież to ćwiczymy, oddychamy czystym tlenem, tylko wtedy byłem zmęczony, próbowałem, ale nie było szans.

Serio, w tej chwili bardzo chciałem mieć ojców, którzy weszliby do kuchni, walnęli mnie w plecy i powiedzieli: „no, młody, fajnie ocierać się o śmierć, co?”. Oczywiście wiem, że ojcowie w kolonii tak nie mówią, ale pofantazjować można.

– Dlaczego nie możesz grać w normalne oxy, dziwię się, że wam w ogóle na to pozwalają.

Normalne oxy to takie, kiedy butli wolno używać tylko do oddychania, więc zawsze każdemu starcza do końca kwinty. Wiem, ciągle to dla was niejasne, ale wyjaśnię wszystko, jak będzie porządny mecz, obiecuję.

– Mamo, przecież normalne oxy jest dla przedszkolaków, nikt tego nie chce oglądać, równie dobrze można by patrzeć, jak to wygląda na rekreacji, stare baby i niemowlaki.

I oczywiście na te słowa o starych babach weszła mama Liza, jakby wyczuła, że kochana żona potrzebuje wsparcia, aby razem mogły mnie wprasować w podłogę, zwinąć w rulonik i schować do szafki, żebym tam już był bezpieczny po wsze czasy.

– Jak stare te baby? Tak stare jak twoje matki?

– Matki? Myślałem, że jesteście moimi siostrami.

Trafiłem celnie, musiały bardzo się starać, żeby się nie roześmiać w czasie Jakże Ważnej i Istotnej Rozmowy o Bezpieczeństwie. Tak, w ogóle dwie matki są okej, ale koniec końców to – cóż zrobić – matki, dwie jednoosobowe centrale bezpieczeństwa połączone w jeden najwyższy komitet do spraw bezpieczeństwa.

Mama Betty wróciła do swojego hobby, czyli szkicowania ołówkiem różnych roślin z farmy, a mama Liza przysiadła się do stołu i zaczęła mi grzebać palcami w deserze, oczywiście wybierając truskawki i omijając glony. Nie cierpiałem tego, normalnie sprawiała mi tym fizyczny ból.

– Mamo, daj spokój, no, nałóż sobie, jak chcesz.

– Nie chcę, dzióbnę sobie tylko od ciebie.

Wszyscy wybuchnęliśmy śmiechem, ponieważ, jak pamiętacie, był to ostatni normalny dzień mojego życia. A w normalnym życiu od zawsze śmialiśmy się z mamy Lizy, że grzebie wszystkim w talerzach, tym chętniej, jeśli są to desery. Serio, potrafiła palcami wyjąć komuś pół miski lodów, zastrzegając cały czas, że ona nie chce, nie ma ochoty, tylko skubnie albo dzióbnie, albo grzebnie, albo spróbuje, poczęstuje się – miała w słowniku tuziny określeń, aby opisać bezczelną kradzież jedzenia. Śmiałem się, byłem szczęśliwy i pewnie już was nudzę, bo jesteście ciekawi, czemu Pepe mówił, że moja stara go trochę przeraża.

Szczerze? Mnie też trochę przerażała.

Wszyscy inżynierowie budzili lęk, przecież od dzieciństwa wpajano każdemu z mieszkańców kolonii, że tylko oni stoją pomiędzy naszym kruchym życiem a żywiołem oceanu. Ich decyzje nie podlegały negocjacom, nieposłuszeństwo wobec nich karano w najsurowszy sposób, ze śmiercią włącznie, i już ośmiolatkwie mogli za to wylądować w strefie kontroli. Zналиśmy tylko ich numery (chyba że ktoś miał mamę inżynierkę) i wszyscy opowiadali sobie o nich historie jak o mitycznych herosach. Trochę byli superbohaterami, trochę naukowcami, trochę techniczną sektą przekazującą sobie tajemną inżynierską wiedzę. I dla wszystkich to zawsze miało sens, przecież nasze przeżycie zależało od szczelności i trwałości konstrukcji spoczywającej na dnie oceanu kolonii, logiczne, że najwięk-

szą władzę mieli nie kanclerz czy szefowie sektorów, ani nawet nie zgromadzenie, tylko właśnie inżynierowie. Dlatego Uniwersalne Zasady Bezpieczeństwa mimo swojej szczególności sprowadzały się w gruncie rzeczy do prostego przykazania: po pierwsze, słuchać inżynierów. Po drugie, po trzecie i po setne – patrz: po pierwsze.

Moja mama była dla wszystkich Czarną Czternastką, nazywali ją tak z powodu obciętych na jeża, czarnych jak atrament kałamarnicy włosów. I może w domu kradła zarcie z talerza i potrafiła żartować jak nikt, ale poza domem nie śmiała się, nie uśmiechała, prawie nie odzywała. Opowiem wam o pewnym wydarzeniu, które miało miejsce, kiedy jeszcze ssałem kciuczka. W jednym z bąbli w czwartym sektorze doszło do rozszczelnienia, okazało się, że w środku jest mała dziewczynka. Wody przybywało błyskawicznie, mała nie miała żadnych szans. Mama znajdowała się najbliżej; wskoczyła do śluzy, zamknęła za sobą drzwi, załała śluzę i wpłynęła do środka – bez sprzętu, tylko z awaryjnym litrowym zbiornikiem tlenu – takim, jakiego używamy do gry w oxy. Szansa na to, że taki zapas starczy dla inżynierki, zanim ekipa wyjdzie na zewnątrz, zaspawa przeciek i wypompuje wodę, była bardzo niewielka, właściwie żadna. Szansa, że dzięki temu przeżyją ona i przeżona pięcioletnia dziewczynka – zerowa. A jednak. Mama oddała tlen dziecku, a sama wyszukiwała kieszonki powietrza w zakamarkach pomieszczenia. Kiedy nie było już czego szukać, opadła na podłogę i wstrzymała oddech. Kiedy po półgodzinie awarii wypompowano wodę i inżynierowie weszli

do środka, spodziewali się zobaczyć dwa trupy. Znaleźli przestraszone dziecko i medytującą koleżankę. Wytrzymała bez zaczerpnięcia oddechu prawie osiem minut, czytniki kombinezonu pokazywały, że w pewnym momencie jej serce zwolniło do trzydziestu uderzeń na minutę.

Wiem, zastanawiacie się, co w tym takiego strasznego, historia z happy endem, luz i spokój. Otóż kiedy śledztwo wykazało, że rozszczelnienie było winą ojca dziewczynki, który złamał *Uzby* dotyczące codziennej kontroli, to Czarna Czternastka (znana mnie i wam jako wesoła żarłoczka mama Liza) sama ogłosiła i wykonała wyrok śmierci, sama też potem zaniósła jego zwłoki do bioreaktora. Jednego dnia ojciec, szczęśliwy, że jego dziecko przeżyło, drugiego – nawóz na farmie.

Przyznam się, czasami patrzyłem na swoją mamę, na jej twarde, żylaste od wysiłku i sportu ciało, na krótkie włosy, na zawsze widoczne na szyi i nadgarstkach ślady od twardej kołnierzy kombinezonu technicznego, i myślałem, czy mnie też przeraża. Kobieta, która lubi kraść truskawki z miski. Która potrafi wstrzymać oddech na osiem minut. Która prawie zginęła, żeby uratować życie małej dziewczynki. Która potem zabiła jej ojca i wrzuciła zwłoki do bioreaktora, ponieważ złamał *Uzby*, narażając całą kolonię. A gdybym to ja coś przeszkrobał? – zastanawiałem się czasami. Coś poważnego? Odesłałaby mnie do strefy kontroli? Bez mrugnięcia okiem?

Taka mama, co poradzisz.

– Cieszysz się? – zapytała.

Zamrugałem oczami, przekonany przez chwilę, że pyta, czy cieszę się, że mnie zabiera do strefy kontroli.

– Co? – bąknąłem, żeby zyskać na czasie.

– Czy cieszysz się, że Alicja jutro przyjeżdża?

Dobra, miałem być szczery, to będę szczery. Pokiwałem wtedy głową ze zblazowaną miną, bo jak się ma mamę twardej dziękę, to samemu też chce się być twardzielem. A bałem się, że głos mnie zdradzi. Moja siostra była najfajniejszą, najmądrzejszą, najodważniejszą osobą na świecie, którą uwielbiałem jak nikogo innego, wliczając w to obie mamy i Virgilię (żart). I może czas powiedzieć wprost, że ja już wtedy nienawidziłem tego świata. Ciasnej kolonii, dusznej obsesji bezpieczeństwa, *Uzbów*, inżynierów w idiotycznych, podkutych butach i z dupy wziętych obrzędów, takich jak Przeprowadzka, która dwa lata wcześniej zabrała mi siostrę.

